

Uniwersalizm interesów

Tę mowę niektórzy obwołali najdonioślejszym wystąpieniem Donalda Trumpa, albo i nawet jedną z kluczowych mów, jakie w ostatnich latach wygłosił którykolwiek z amerykańskich prezydentów. Co ciekawe, Trump wygłosił ją nie w Ameryce, ale podczas swej pierwszej politycznej podróży, jaką odbył na Półwysep Arabski.

Rzecz dzieła się 13 maja 2025 roku w Rijadzie, a publiczność stanowili książęta, szejkwowie i emirowie z królestwa Saudów i innych konserwatywnych monarchii tego regionu, zgromadzeni na urządzonym na cześć prezydenta USA amerykańsko-arabskim Forum Inwestycyjnym. Kontekstem mowy, co w tym przypadku nie bez znaczenia, były sięgające biliona dolarów zobowiązania książąt arabskich do nowych inwestycji w amerykańskie technologie cyfrowe, a także kontrakty zbrojeniowe idące w setki miliardów dolarów. Handel, inwestycje i rozwój technologii – to bowiem nie tylko wymierne korzyści, jakich w kontaktach ze światem oczekuje Trump, ale jak się okazuje, to także newralgiczne pojęcia nowej amerykańskiej doktryny państwowej, którą prezydent przedstawił jasno i w świetnej formie retorycznej, podobającej się arabskim książętom. Tak dalece, że dla rozrywki książę Muhammad bin Salman – groźny i wszechwładny suweren królestwa Saudów, zabawił się nawet potem w kierowcę wózka golfowego, wożącego po okolicy przywódcę USA, jako swego pasażera.

O czym mówił w Rijadzie prezydent Trump? O swoim rozumieniu misji Ameryki w świecie. Czyli o czymś, co dziś pasjonuje przywódców, polityków i media niemal na całym globie a już zwłaszcza w krajach, dla których kwestia stosunku do nich USA (sojuszniczego, wrogiego, albo i obojętnego) jest materią politycznie egzystencjalną. Tak jak choćby dla Polski. Trump zaczął od powtórzenia swej wielkiej pochwały pokoju, podkreślając jak bardzo sam „nie lubi wojny” i ma ambicję odegrania na scenie świata roli „rozumcy i jednoczyciela”. Ale to możliwe będzie tylko wtedy, jeśli uznana zostanie naturalna różnorodność kulturowa i polityczna świata, który choć technologicznie idzie w stronę tej samej cyfrowej nowoczesności, to jednak nie pozwoli sobie narzucić ani obcych wartości, ani cudzego ustroju politycznego, ani stylu życia, który rzekomo miałyby być miarą jakiegoś obiektywnego postępu. „Narodziny nowoczesnego Bliskiego Wschodu nastąpiły dzięki ludziom z tego regionu, którzy tutaj są i tu mieszkają przez całe życie, rozwijając własne suwerenne kraje, urzeczywistniając własne unikalne wizje i wytyczając własne losy na swój własny sposób” – mówił Trump. „Pokój, dobrobyt i postęp nie przyszły przecież z radykalnego odrzucenia waszego dziedzictwa, ale raczej z przyjęcia waszych narodowych tradycji, które kochacie. I jest to coś, co tylko wy mogliście zrobić; dokonaliście współczesnego cudu na arabski sposób”. Trump przemawia do arabskich książąt znanym nam dobrze językiem nieżyjącego już od niemal dwóch dekad wielkiego Samuela Huntingtona, który dowiódł, iż „modernizacja” i „westernizacja” świata bynajmniej nie muszą iść i nie idą wcale w parze. Arabscy książęta nie słyszeli dotąd takiego języka amerykańskiego przywódcy, więc nie dziwota, że byli zachwyceni. Dotąd mówiono im przecież, że przyjaźń z Ameryką jest możliwa, ale tylko o ile będą wprowadzać demokrację, prawa kobiet i swobodę aborcyjną, gdyż to są rzeczy uniwersalne i postępowe.

Rémi Brague – wszystkie teksty dla Teologii Politycznej

Jednak Trump nie byłby alt-prawicowym Trumpem, gdyby w tej huntingtonowskiej logice myślenia nie posunął się dalej. Jego pochwała cywilizacyjnego skoku, jaki dokonuje się (czy też się już dokonał?) na Półwyspie Arabskim, jest zarazem najostrzejszą krytyką dążeń i planów hurra-globalistycznego obozu postępu, który chciałby na swoją modłę przebudować nie tylko instytucje polityczne i prawa na całym globie, ale ostatecznie także stworzyć ujednoliconego „nowoczesnego człowieka”. Trump mówił: „Olśniewające cuda Rijadu i Abu Zabi nie zostały stworzone przez tzw. budowniczych narodów, neokonserwatystów, czy liberalne organizacje non-profit, takie jak te, które wydały biliony dolarów, nie rozwijając wcale Kabulu czy Bagdadu (...) Owi budowniczowie narodów zniszczyli o wiele więcej narodów niżli zbudowali, zaś interwencjoniści interweniowali w złożonych społeczeństwach, których sami nie rozumieli. Mówili ci, jak masz to zrobić, ale sami nie mieli o tym pojęcia”. To oczywiście jawna krytyka z jednej strony mało efektywnych wojen George’a Busha i neokonserwatystów (nazywanych teraz wśród trumpistów „podżegaczami wojennymi”), a z drugiej likwidowanych właśnie przez rząd Trumpa niezliczonych agencji, opłacanych z podatków Amerykanów i Europejczyków, a zajmujących się globalnym propagowaniem demokracji, feminizmu, radykalnej ekologii czy praw człowieka, które w rozumieniu ich współczesnych propagatorów utraciły dawniejszy klarowny i szlachetny sens. „W ostatnich latach zbyt wielu amerykańskich prezydentów było dotkniętych ideą, że naszym zadaniem jest zagładanie w dusze obcych przywódców i wymierzanie im sprawiedliwości za ich grzechy” – kontynuował Trump. „A ja myślę, że to zadaniem Boga jest osądzenie, zaś moim zadaniem jest obrona Ameryki i promowanie fundamentalnych interesów: stabilności, dobrobytu i pokoju”.

Te „fundamentalne interesy” propaguje się przez handel, inwestycje i pełną optymizmu ekspansję cyfrowej technologii. Trump mówi: „Nowe pokolenie przywódców przekracza starożytne konflikty i wyczerpane podziały

przeszłości oraz wykuwa przyszłość, w której Bliski Wschód będzie definiowany przez handel a nie chaos, eksport technologii a nie terroryzmu, zaś ludzie różnych narodów, religii i wyznań będą wspólnie budować miasta, a nie bombardować się nawzajem”. Kiedy rozpoczynała się wojna na Ukrainie, zaś Ameryka zaczynała stopniowo coraz głębiej się w nią angażować, Robert Kagan opublikował na łamach „Foreign Affairs” esej, którego główną tezą było, iż od czasu prezydentury Wilsona i zbrojnego zaangażowania USA w wielką wojnę, stałym elementem polityki amerykańskiej jest swoiste napięcie pomiędzy ściśle rozumianym egoistycznym interesem narodowym a uniwersalistycznym pragnieniem ulepszenia świata. Dla Kagana miarą tego napięcia był przede wszystkim udział USA w wojnach przeciw tyranom w celu (jak mówił Wilson w czasie wielkiej wojny) „uczynienia świata bezpiecznym dla demokracji”, po których jednak Amerykanie z reguły mieli w końcu kaca, gdyż owe wojny nie naprawiały świata wedle ich marzeń, a przynosiły zawód, śmierć i rosące zadłużenie kraju. Trump nie jest pierwszym przywódcą amerykańskim, któremu marzy się ostateczne zerwanie z polityką wojen prowadzonych w imię nieosiągalnych w gruncie rzeczy ideałów; tego rodzaju antywojenny sceptycyzm manifestowali choćby Kennedy czy Obama. Trumpa pragnienie odwrotu od interwencjonizmu bywa też czasem porównywane do polityki Nixona z końca lat 60 XX wieku, który świadom ponurych dla USA skutków wojny wietnamskiej i przegrywanej (jak się mogło wtedy wydawać) konfrontacji zimnowojennej z ekspansywną potęgą sowiecką, postawił na odprężenie z ZSSR, porozumienie z komunistycznymi Chinami i pokój w Wietnamie. A porównanie to pociągnąć można nawet dalej, gdyż Nixon, podobnie jak Trump, starając się przywrócić Ameryce równowagę handlową, zniósł w stosunku do dolara parytet złota, przyczyniający się przez długie lata do nadwartościowania waluty, a przez to upadku amerykańskiego eksportu.

Jan Rokita – felieton „Kara za nieposłuszeństwo” o polityce celnej Trumpa

Tyle tylko, że zakochany w robieniu biznesów Trump ów swój sceptycyzm względem zbrojnych interwencji uzupełnia nowym rodzajem globalnej misji USA. Ma nią być *sui generis* handlowo-technologiczny imperializm amerykański, w wizji Trumpa mający służyć interesom Amerykanów (tzn. zarówno tych ze sławnej książki Vance'a o pasie rdzy, jak i potentatów Big-Tech, towarzyszących prezydentowi w podróży do Arabii), ale także stanowić narzędzie „promowania fundamentalnych interesów stabilności, dobrobytu i pokoju”. Wbrew temu, co mówi się i pisze o globalnej strategii Ameryki pod wodzą Trumpa, nie jest to zatem w żadnym razie ani strategia izolacjonistyczna, ani tym bardziej polityka zrywająca ze specyficznie amerykańskim politycznym uniwersalizmem. Tyle tylko, że w rijadzkiej mowie Trump opowiada Arabom o uniwersalizmie handlu, inwestycji i nowoczesnej technologii, a nie kultury, ustroju czy dominującej ideologii. Tak jak niegdyś Huntingtonowi, zdominowany przez Amerykę świat jawi mu się jako „coraz bardziej nowoczesny, a zarazem coraz mniej zachodni”. Trump nie chce żadnej formy związanego z Ameryką, czy Zachodem „globalnego rządu”, który kojarzy mu się jak najgorzej z jakąś dystopią i złowrogimi próbami zastępowania Pana Boga w jego wyłącznym prawie do osądzania ludzi, cywilizacji i systemów politycznych. Uniwersalizm Trumpa ma genezę i naturę smithiańską: zrodził się ze zrozumienia zalet uczciwego handlu, pieniądza i robienia interesów. Otwarte pozostaje pytanie, czy oszalała globalizację, wyrywającą nie tylko ludzi, ale i całe narody z ich kulturowych korzeni, można faktycznie przepchnąć na takie trumpistowskie, biznesowe tory? I jeszcze inne pytanie, doniosłe nie dla Arabów, ale dla nas: czy Trump będzie mieć dość mocy, aby na tory takiej globalizacji pomóc przepchnąć także integrację europejską, która jest już tak bliska zabrnięciu w złowrogą i ślełą uliczkę dystopii?

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Wszystkie felietony Jana Rokity „Z podbieszczadzkiej wsi”